



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

### Wydawca MICHAŁ GLUCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskie u Witgebera i Spół., kwartal. 5 marek

## HORTENSYA MAŁACHOWSKA.

Są talenta do nauk i sztuk, jest i talent do miłosierdzia. Na świat już przychodzą istoty dziwne czule na każdą łzę, potrzebę, zgryzotę, — nędzę ludzką. W wieku dojrzałym ta czulość przybiera postać ogólnej miłości człowieka jako rodzaju cierpiącego. Indywidualne skłonności, przywiązanie się czy przyłgnięcie do tej lub owej istoty jest dla tak usposobionego serca dobrem podrzędnem: ono, gdyby mogło, przytuliłoby do siebie ludzkość całą, uścisnęłoby wszystkich maluczkich i biednych, przydziało, okryło od zimna, nakarmiło całe rzesze zgłodniałych — ze świata wygnałoby raz na zawsze łzy, troski, cierpienia i wszystkie niedole ludzkie. Te serdeczne talenta żyją w historii tylko wyjątkowo: przez to, co w społeczeństwie lub ludzkości widomego i dotykającego a na wieki trwałego po sobie zostawiają; ale wszystkim im większym czy mniejszym, wdzięczne wspomnienie, chociażby w pierwszych chwilach po skonie, starczy za ziemską nieśmiertelność. Większe ma dla ducha znaczenie szczerzy żal żywych tłumów, niż uwielbienia i zachwyty przez martwy druk weiskające się do umysłów potomnych.

Warszawa taką istotę wyjątkowo czułą na każdą potrzebę, każdą nędzę ludzką, miała właśnie w Hortensyi



Hortensya Małachowska.

Małachowskiej. Pani ta wyszła ze sfery, która zwykła dóbr tego świata używać, a nie przysparzać, najczęściej świat za salon, życie za zabawę uważa, i z samego nawet miłosierdzia sport sobie czyni: i to właśnie, że dla ś. p. Hortensyi miłosierdzie było stałą potrzebą, duszy, ustawicznym aktem wiary i miłości — wyższego jeszcze jej blasku dodaje. Życie urabia sobie człowieka i człowiek urabia sobie życie. Zewnętrzne okoliczności może dopomogły tej szlachetnej kobiecie do obrania sobie zawodu miłosierdzia, ale sam ten zawód jest już owocem tej nieprzepartej woli, która nie pozwalała jej ani na chwilę oderwać się od działalności osuszającej łzy, dającej opiekę i pociechę, prowadzącej dusze ludzkie do światła i dobra, wspierającej blizkie upadku, zaspakajającej wreszcie te straszne a niezmierzone ciała ludzkich głody. Jeżeli nie miała biednych rodzin, aby im częstokroć byt cały zapewnić, miała biedne dziewczęta potrzebujące ratunku w pracy i zapewnionym kawałku chleba; jeżeli nie miała dalekich — w zwykłym pojęciu — znajdowała wkoło siebie blizkich, dla których, sama rzeczywistego macierzyństwa pozbawiona, idealną matką, opiekunką i przyjaciółką najczulszą być umiała. Prawdziwie, można o niej powiedzieć, że sercem żyła, a nie tem sercem, które egoistycznie dla siebie kocha, lecz tem, które siebie dla innych oddaje i w tej ofercie znajduje zupełną sytość, rozkosz i upojenie. W rodzinie swojej już miała przykład ofiarności chrześcijańskiej: Klementyna z Sanguszków Małachowska była



jedną z najhojniejszych ofiarodawczyń na kościół Ś-go Karola Boromeusza w Warszawie. I tego przykładu nie zmarnowała ś. p. Hortensya; wiemy z dobrego źródła, że na nowo-budujące się w Warszawie kościoły składała summy bardzo znaczne. Wszystko to razem wzięte wytwarza obraz prawdziwie dobrej, uczuciowej, pożytecznej dla społeczeństwa niewiasty; a jeżeli dodamy do tego jeszcze w całym prowadzeniu arystokratycznego domu nieskażoną cechę swojskości szlachetnie pojętej; będziemy mieli przed sobą prawdziwie postać z ram przeszłości ku nam występująca, — matronę, z uśmiechem dobroci, z powagą myśli, z serdecznym ciepłem dla ludzi.

Hortensya Małachowska przyszła na świat dnia 5 Czerwca 1810 roku, w rodzie Stanisława Małachowskiego, marszałka sejmowego a następnie prezesa Senatu Księstwa Warszawskiego. Rodzicami jej byli Ludwik i Ludwika z Komarów Małachowscy. Mielśmy w owej epoce u siebie dużo Napoleonów, Hortensyi, Józefin i Eugeniuszów, bośmy przebywali wówczas paroxyzm napoleonizmu. Ojciec, człowiek poważny, najwięcej wpłynął na wychowanie dzieci; arystokratycznych fum i fanaberyi nie było w tych odroślach pnia białaczowskiego. Dwie siostry Hortensyi, znacznie od niej młodsze, powychodziły za mąż, ona sama, choć bardzo przystojna — bo we wdzięku jej starości przebijał się jeszcze powab dni młodych — i nie biedniejsza od siostr, w późnym dopiero wieku oddała rękę swoją krewnemu, oczywiście już tylko dla dozgonnej przyjaźni i opieki. W r. 1852 utraciła ukochaną siostrę Stefanią, żonę Cezarego Platę. Splacając dług miłości siostrzanej, zajęła się gorliwie wychowaniem trojga osieroconych dzieci; czuwała nad ich kierunkiem moralnym, nad porządkiem w głowach i sercach — strzegła i dóbr doczesnych sieroctwa. Dzieci kochały ją, jak matkę — i miała prawdziwie macierzyńską radość, kiedy siostrzeniec wychodził już w świat o własnych siłach a siostrzeniec stawały przed ołtarzami w ślubnych wiankach. Była i babką dla nowego pokolenia, które dorastało już wtedy, kiedy ona sama miała czas i zyskać i utracić owego dozgonnego opiekuna i przyjaciele, w poślubionym w r. 1858 hr. Władysławie Małachowskim († 1870). Wdowieństwa swego nie czuła przecież świadcząc ciągle dobro bliższymi i dalszym. Miała od r. 1857 w domu swoim na Nowym Świecie instytucją miłosierną, dla której najczęściej uczyniła, która jej może nawet całe istnienie swoje zawdzięcza: zakład Ś-tej Marty; dopóki jeszcze zdrowie pozwalało, krzątała się w nim sama, nie polegając na żadnych wyreczeniach i zastępstwach. Miała swoich biednych etatowych, przychodzących peryodycznie po wsparcie, i biedaków zanoszących prośby, z którymi lubiła sama rozmawiać. Miała instytucją Ś-go Wincentego a Paulo, w której nie była tylko malowaną i w terminach stałych — nie-wnoszącą opłat opiekunką. Nieraz ją wyzyskiwano, nieraz trzeba było dłoń jej powściągać, aby z hojności jej zuchwalstwo lub podstęp nie miały dla siebie zeru. Zнали ją biedni całej Warszawy, a kiedy umarła (d. 8 Lipca), krążyły o jej śmierci opowiadania, z ust do ust: jak chorowała, czem sobie chorobę sprowadziła, kto i jak ją leczył, jak się do swojego ukochanego Białaczowa wybierała, gdy już było lepiej, i jak śmierć wreszcie przyszła cicho, po tę cichą pracownicę na nigdy nie zjętym zagonie miłosierdzia. Na pogrzebie były tłumy, inaczey ciekawe i inaczey zachowujące się niż na pogrzebie Dahomejczyka. Nie robiono sobie ze śmierci widowiska: oddawano szczerze ostatnią przysługę istocie pełnej miłości dla ludzi, dobrodziejce biednych, prawemu charakterowi, słodocy serca, powadze i czystości życia. A biednych, maluczkich na tym pogrzebie było najwięcej: wdzięczność tłumów objawami swemi przyćmiwała stosunki rodowe i towarzyskie zmarłej. Prawdziwie, to samo już świadczyło o zasłudze całego życia. Nie było ono wielkiem, podnioslejszem, po światowemu wybitnem, ale w cichym zakresie dobrych uczynków, użytecznych trudów, szczerego współczucia dla ludzi, należytego korzystania z materialnych darów losu rozwinęło całe bogactwo tego najwyższego talentu kobiety, jakim była zawsze i będzie, i do

spełnienia się wieków pozostanie — rzetelna uczuciowość.

## POGA WĘDKA.

Zleciały się ich już całe roje, za kilka dni obiją wszystkie ławki i brzęczeć zaczną nad książkami, dogryzając resztek domowych placków i owoców, które im wpakowano w kuferki na wyjeździe z wakacyi. Rozumie się, że mówię o działwie szkolnej, którą termin wpisów i rozpoczęcia wykładów powołał znowu na bruk miejski.

Ta rumiana, trochę ogorzała, trochę odpasiona młodzież mundurkowa nadaje pierwszy rys ożywienia fizjonomii miasta pod koniec martwego sezonu, wywołuje ruch większy i zapowiada, że jesień nadciga za nią na ładownym wozie Pomony, pełnym jabłek, śliwek, arbuźów, melonów i winogron.

Wrzesień — jesień.

Wędrownie ptactwo ściagać zacznie wkrótce na zimowe leże i za jakie dwa, trzy tygodnie Warszawa nabierze znowu normalnego wyglądu, otworzą się salony, zatętni życie towarzyskie, znajdziemy się wszyscy w komplecie, na stanowiskach, wielkowiejska machina pójdzie całą siłą pary.

Wiecznie to samo i wiecznie wkółko jedno i jedno.

Najpierwszą kwestyą, która o tej porze wysuwa się co roku na otwarcie porządku dziennego, bywa związana całkiem naturalnie z rokiem szkolnym: kwestya kształcenia młodzieży i jej przyszłości.

Jest to najczęściej kłopot ojcowskich mózgów i serc macierzyńskich.

Oddawna już warunki sytuacji zdecydowały, iż jedynie w praktycznym kierunku należy prowadzić naszą młodzież, jeżeli ma liczyć na własny i, oile możności, zapewniony kawałek chleba.

Wykształcenie uniwersyteckie, dające tytuł do tak zwanej „intelligencji społecznej“, uwieńczone naukowym tytułem i dyplomem, nie zabezpiecza dzisiaj przyszłości w ograniczonej liczbie zawodów, do których prowadzi; doktorów i adwokatów mamy już stosunkowo zawieliu.

Wykolejonych i zawiedzionych exystencji więcej chyba nie trzeba, niż jest.

Powstaje natomiast szeroka i coraz bardziej rozszerzająca się dziedziną praktycznych zajęć na polach przemysłowo-handlowych.

Inteligentnych i zawodowo wykształconych rękodzielników, kupców, fabrykantów, przemysłowców, owego dawniej tak zwanego „średniego stanu“, mieszczaństwa oświeconego, brak nam wszelako zawsze jeszcze w porównaniu z innymi społeczeństwami.

Do chwili obecnej w tym kierunku trudno było rozwijać młodzież, która ze szkół odpowiednich nie mogła czerpać wiele nauki potrzebnej do przyszłych zawodów; owych zakładów specjalnych, profesjonalnych nie było wcale, albo bardzo mało w kraju.

Prywatna inicjatywa zaczęła przy prywatnej ofiarności wytwarzać w ostatnich latach dziesięciu tak zwane szkoły rzemiosł, albo techniczne, które pomimo ograniczonych warunków swoich wiele pożytku przyniosły i dużo dobrego zrobiły.

Obecnie dopiero znosi się na pomyslniejszy zwrot w tej sprawie, odkiedy w wyższych sferach rządowych uzyskał zatwierdzenie projekt zakładania nowych szkół z programem nauk, mających głównie na celu specjalne, profesjonalne wykształcenie młodzieży do zawodów praktycznych.

Projektowane są dwa typy takich zakładów naukowych, które będą powstawały, albo kosztem rządowym, albo też kosztem prywatnych instytucyi, fabryk, przemysłowców i t. p. Pierwszy typ stanowić mają szkoły czteroklassowe miejskie z wykładem teoretycznym, ale i z praktycznymi zajęciami w warsztatach; drugi — szkoły specjalne,

dwuletnie dla przyszłych majstrów w zawodzie mechanicznym, chemicznym lub budowniczym.

Do szkoły specjalnej przyjmowani będą uczniowie po skończeniu szkoły przygotowawczej, niższej gymnazyjalnej, lub realnej.

Zbytecznym byłoby wykazywanie pożytku i znaczenia szkół profesjonalnych; mają one dostarczyć wykształconych, wykwalifikowanych do zawodów, którzyby nietylko teoretycznie, ale i praktycznie znali swój zawód, a następnie zając mogli stanowiska kierowników w mniejszych lub większych przedsiębiorstwach przemysłowych, które dzisiaj obsadzane są po większej części przez cudzoziemców.

Tych „werkmajstrów“, „werkfirerów“, dyrektorów, dobrze płatnych, ale odpowiednio przygotowanych i obznajomionych wszechstronnie ze swoim zawodem, potrzeba najczęściej sprowadzać dopiero z zagranicy, bo z naszych miejscowych sił trudno bywa dobrać kandydata, posiadającego faktycznie wymagane warunki.

W programatach naukowych, w organizacyi szkół, w przeładowaniu młodych umysłów teorią leży wiele przyczyn tego braku; spodziewać się należy, iż nowe szkoły specjalne zaradzą złemu i wykształcą nowe pokolenie zdolnych do zawodów praktycznych, któremu więcej zaufać będzie można i które o byt swój i przyszłość nie będzie w kłopotcie.

Nie trzeba przypuszczać, że z tym kierunkiem praktycznego wykształcenia młodzieży musi iść w parze zrzeczenie się pewnych wyższych aspiracyi, że takie zdemokratyzowanie intelligencyi w najszerszych warstwach zniżyć może poziom umysłowy społeczeństwa, że, jednym słowem: na przybytku dobrych ślusarzy, mechaników, technologów budowniczych — zyskamy moralnie mniej, niż na przybytku takiej samej ilości adwokatów, lekarzy, profesorów, lub wyższych sędowników. Fałszywe to, zacieśnione rozumowanie.

Oświata może sływać rozmaitemi korytami, i zarówno szewc, jak adwokat, może się zaliczać do intelligencyi, jeżeli posiada odpowiednie warunki, postarał się o wykształcenie i reprezentuje jednostkę oświeconą przez naukę a pożyteczną przez działalność dodatnią w swoim zakresie.

Znam krawca, który mógłby zawstydzić niejednego dziennikarza pod względem znajomości historii i literatury, a który, mimo to, własnoręcznie bierze miarę i kraje garnitury; znam wielu kupców, którzy czytają więcej książek i umieją rozsądniej rozprawić o sztuce od wielu uprzywilejowanych z tytułu „intelligentów“.

Zawód praktyczny nie przeszkodził im wcale do nabycia wykształcenia, oświaty wyższej i umysłowej kultury; zależy to od ludzi, od ich indywidualności, od dobrego pokierowania i warunków, wśród których się rozwijali.

Oprócz zatwierdzenia projektu szkół profesjonalnych, dowiedzieliśmy się również o sankcyi innej instytucyi, która w odmiennym rodzaju mogłaby wpłynąć bardzo korzystnie na wyrobienie w naszym ogóle cnoty, mało, niestety, rozwiniętej, a mianowicie: oszczędności i przyczynić się do jej zamilowania.

Donoszą o zatwierdzeniu ustawy kas oszczędności przy urządach pocztowo-telegraficznych.

Instytucye tego rodzaju powstały zagranicą i rozwijają się tam bardzo pomyslnie.

Sposób lokowania swoich oszczędności jest bardzo prosty i łatwy.

Oto za marną summę dziesięciu kopiejek kupuje się książeczkę, w którą szczęśliwy posiadacz może, kiedy zechce i kiedy mu tylko zbywa kwota nie mniejsza od 25 kop., a nie większa od 1.000 rs. umieścić ją w tej książeczce w postaci specjalnej marki, nabytej w którymkolwiek kantorze pocztowym, telegraficznym, lub w odpowiednim składzie. Marki te oszczędnościowe, służą tylko jako pośredniczki do przelewania kapitałów drobnych w kasę państwową, z której każdy posiadacz ich może wycofać swoją summę na zasadzie wszelkich praw i przepisów istniejących już kas oszczędności, złączonych z bankiem państwa.

Zapytacie, w czem leży praktyczna strona tych instytucyi? — oto w tej właśnie uproszczonej manipulacyi umieszczania swoich wkładów, choćby naj-



drobniejszych, w każdej chwili i na każdym miejscu.

Nie potrzeba osobnych biur i kantorów, nie potrzeba w oznaczonych godzinach zanosić swoich kilkudziesięciu kopiejek, czy kilkunastu rubli, gdzieś tam na jakąś oddaloną ulicę, przeprowadzać ich przez księgi, cisnąć się do kasy i pokazywać dziesięciu urzędnikom. Oszczędza się nie tylko pieniędzy swoich, ale i czasu, i fatygi, i butów na chodzenie z każdym wkładem osobno.

Człowiek nosi przy sobie swoją skarbonkę, jest kontrolerem i buchalterem i kasyerem własnych oszczędności, nalepia marki własną ręką, i ani się spostrzega, jak mu w kieszeni narasta kapitał z procentami.

Najłatwiej oszczędza się na owych drobnych małych sumkach, które jako reszty, jako kuprowina pozostają w kieszeni, podziewają się niewiedzieć gdzie i kiedy, a zsypane razem w ciągu roku tworzą często wcale znaczną kwotę.

Dla ludzi mniej zamożnych takie kassy mogą być wielką zachętą i ułatwieniem do zbierania sobie funduszu na czarną godzinę; dla młodego pokolenia—środkiem niemal pedagogicznym, który przyzwyczai je do zaoszczędzania grosza, oszczędności, tak mało u nas rozpowszechnionej.

Ustawa umożliwia, nie tylko jednostkom, ale całym korporacjom i stowarzyszeniom bez wielkiego zachodu i nakładu na osobną administrację, zaprowadzenie zamiast dotychczasowego typu kas oszczędnościowych, takich właściwie kas markowych.

A zatem zaczniemy sobie zbierać całe biblioteczki książek, których autorstwo będzie naszą własną zasługą i pożytkiem, a każda wklejona w nią marka zaświadczy z osobna o naszej przeczności i dbałości o przyszłość, choćby najdrobniejszymi środkami.

Świat cały dąży do ułatwiania sobie wszystkiego i w tym kierunku utworzone też zostały instytucje, które dla nas będą zupełną nowością, godną jaknajszerszego spopularyzowania.

Wkrótce mamy otrzymać ułatwienie i w ekspedycjach listów na pocztę; zaprowadzone bowiem zostaną w Warszawie automatyczne skrzynki, do których wrzucać się będzie razem z listem pieniądze na ich ofrankowanie. Skrzynka ma takie urządzenie, że dopóty się nie otworzy, dopóki się odpowiedniej kwoty w nią nie wrzuci.

Mamy już takie wagi automatyczne: w Hotelu Europejskim funkcjonuje taka dystrybucja z papierosami, w Ogrodzie Zoologicznym jest taka cukiernia, która wydaje czekoladki każdemu, co dwudziestówkę wciśnie w odpowiedni otwór.

Obywa się to bez osobnej obsługi ludzkiej i kontroli.

Mechanizm zastąpił człowieka.

Wiek XIX-ty ze swoim wynalazczym geniuszem w pewnej części rozwiązuje faustowskie zadanie wytworzenia jakiegoś *homunkulusa*, wprawdzie nie na drodze czarodziejskiej, nie w retortach alchemika, ale w pracowni mechanika i elektro-technika; nie chodzi mu o organizm sztucznie złożony i żyjący, lecz o zastąpienie pracy ludzkiej, o wyręczenie człowieka, o stworzenie mu niejako substytutu w bardzo wielu wypadkach, w których samo zajęcie fizyczne, mechaniczne, musi spełniać martwy automat, zamiast żyjącego indywiduum.

Kiedyś przed kilku dniami rozmawiali z jednym z higienistów warszawskich o tem wypieraniu człowieka przez maszynę i o cudowności niektórych wynalazków, mój szanowny towarzysz zawał:

— Ach, panie, gdyby-to który z Edisonów wymyślił jaki aparat, aby jeszcze... mył ludzi, nawet wbrew ich woli.

Spojrzałem na niego zdumiony, nie rozumiejąc w pierwszej chwili, o co mu chodzi.

— Tak, kochany panie — mówił dalej — nie cofam tego; potrzeba nam koniecznie jakiegoś środka utrzymywania czystości i pozbywania się brudów, i nie dla estetycznych względów, ale po prostu dla zdrowotnych; przypatrz-no się pan ręką ludzi, z którymi stykają pana codzienne stosunki, ręką sług naszych, stróżów, dorożkarzy, kelnerów, golarzy, przekupniów etc., etc., Boże drogi, jakie to brudne!... powiesz pan, że ro-

dzaj ich zajęcia tego wymaga; zgoda; ale rodzaj ich zajęcia nie przeszkadza umyć się choćby dziesięć razy dziennie, jeżeli tego potrzeba. Nie panie, przyznajmy się, że u nas niema zamięłowania czystości a wstrętu i odrazy do niechlujstwa. Czytałeś pan kiedy protokoły kommissy sanitarniej, która od czasu do czasu zwiedza rozmaite zakłady, jadalnie, fabryki i wchodzi za kulisy, zagląda do kuchni, nie waha się wsadzić nosa do garnka, do kotła i do rondla?... Nie czytaj pan, bo przestałbyś jadać z takim smakiem ciasta i czekoladki w najbardziej renomowanych cukierniach, lub kolacje w najbardziej uczęszczanych restauracjach pierwszego rzędu, nawet w tych, gdzie się nie posługują generalnemi sosami do wszystkiego. Dajmy więc temu pokój, ale zastanówmy się nad pierwszą kwestyą, napozór najłatwiejszą do rozwiązania, zastanówmy się nad utrzymywaniem czystości ciała, obowiązkiem dla każdego człowieka, który nie chce być gorszym od psa i kota, myjącego się własnym językiem. Nie zdarzyło się panu zauważyć w salonach nawet, tam, gdzie czystość przedewszystkiem obowiązuje, a na jej zaniedbanie niema żadnego usprawiedliwienia, rąk brudnych, paznogi zapuszczonych, szyi i uszu niedomytych, kołnierzy łupieżem zasypanych?... Nie?... przez dyskretyą będziesz pan zaprzeczał, ale my lekarze mamy po temu więcej sposobności do przekorania się o tej smutnej prawdzie, że u nas konsumpcja mydła nie należy do pochwały godnych zbytków. Otóż jeżeli to nie da się wykorzystać w tak zwanych lepszych sferach, cóż dopiero dzieje się w tych niżej gorszych, w warstwach robotniczych i wśród ludu wiejskiego?...

Tu, w sposób zanadto realistyczny, szanowny Eskulap zaczął charakteryzować mieszkania, pościel, statki kuchenne i naczynia codziennego użytku, które mi posługuje się klasa uboższa i pracująca.

Nie podobna wymagać, aby wszyscy ludzie, w najrozmaitszych zawodach i zajęciach wyglądali jak z cukru; chodzi tylko o to, aby, oile możności, jak najmniej podobni byli do osmołonych kominiarzy.

Czystość nie jest ustępstwem dla drugich, ale jest obowiązkiem względem samego siebie, własnego organizmu i własnego zdrowia; nie polega ona na codziennej formalności umywania rano rąk i twarzy, ale na utrzymywaniu całego ciała w czystości. Otóż ta czynność, nawet przy dobrych chęciach i bez wstrętu do wody i mydła, wymaga pewnych warunków, niełatwo dostępnych u nas, zwłaszcza dla klasy uboższej.

Owa kąpiel częsta, tak bardzo zalecana przez higienistów, jak i przez miłośników czystości, a tak potrzebna ludzkiej ciężko pracującej, czy to w dusznych warsztatach, czy w fabrykach, w atmosferze rozmaitemi wyziewami, kurzem, pyłem węglowym i dymem zanieczyszczonej, — owa kąpiel należy do obowiązków dosyć kosztownych dla naszego rzemieślnika.

Potrzeba zatem, aby powstawały takie zakłady w innych punktach miasta, w dzielnicach fabrycznych zwłaszcza, urządzone bez komfortu, ale wygodnie, w którychby za jakieś kilka groszy można było wziąć kąpiel, najwłaściwiej natryskową, umyć się, osuszyć i odświeżyć ciało potrzebujące ułatwionej transpiracji.

Takich tanich łaźni, albo wanien, albo choćby basenów dla klasy uboższej i pracującej cały tydzień w pocie, nietylko czoła, niema w dostatecznej ilości Warszawa, a wcale ich nie posiada wiele miast na prowincyi i osad fabrycznych.

Po wsiach nie szukać łaźni ludowych: nasz chłop, albo wcale kąpeli nie używa, jeżeli mu jej koniecznie na lekarstwo nie zalecą, albo przestaje na opłokaniu się latek w rzece lub stawie, jeżeli jest, a jeżeli niema — to żyje bez tego.

Pomimo uznawanej potrzeby, pomimo wielu artykułów i podobno konkursów, rozpisywanych w tym przedmiocie, ani jedna, oile wiem, łaźnia ludowa sama z ziemi nie wyrosła, a propagatorowie jej poprzestali na gołosłowne namawianie do ich urządzania po wsiach.

Jeden dobry przykład więcejby tu zdziałał, niż sto pięknych artykułów po dziennikach.

Jeżeli te słowa czytane będą w jakim dworze, upraszam pana dziedzica, lub panią dziedziczkę, zastanowić się łaskawie nad niemi.

Przechodząc do spraw specjalnie warszawskich, mam do zanotowania rzeczy niewielkiej wagi.

Po Syngalezach w Zwierzyńcu mamy zabrać wkrótce znajomość z jakimś innym plemieniem „dzikich“ bliźnich, które przyjedzie na słońcach, strusiach lub żyrafach, obywać się będzie bez butów i bielizny, stroić do nas grymasy, podawać nam ręce i przemawiać do nas niezrozumiałym językiem.

A wszystko to gwoli uciechy ciekawego tłumu, który lubi nowości i chętnie gapi się za swoje własne grosze.

Pisałem już kiedyś na tem miejscu, co trzymam o takich „menażeryach ludzkich“ i jakie wrażenie sprawia na mnie widok tych kolorowych niewolników białej cywilizacji.

Pan Charles Leroux ze swoim spadochronem dał drugie i trzecie widowisko spragnionej sily wrzeń publiczności warszawskiej.

Za drugim razem wzbil się przeciw dwa razy tak wysoko, jak poprzednio, z dołu wydawał się zaledwie tak dużym, jak wróbel; spadł znowu szczęśliwie, i on, i balon, którego po pierwszej podróży nie udało się znaleźć aż po długich poszukiwaniach w okolicy Radzymina w opłakanym stanie.

Znalazcy ograbili aerostat Amerykanina ze sznurów i haków, wycieli całe kawały materji do niczego nieprzydatnej, bo werniksowanej i oliwą przesiąkniętej; dobrze jeszcze, że sobie całego balonu nie przywłaszczyli, jako rzeczy... która im z nieba spadła.

W operze zawsze jeszcze entuzjazmuje słuchaczy uczuciowy Aramburo i trzy razy tygodniowo śpiewa bohaterskie partye, nie obawiając się chryпки, ani zdarcia głosu, który ma, nietylko dźwięk, ale i wytrzymałość spizu.

Ogródki dobijają ostatków sezonu, albo raczej ostatki sezonu dobijają dyrektorów ogródkowych, którzy liczą na powodzenie przygotowywanych oddawna nowości: więc Belle-Vue—na operetkę Messenger'a p. t. „Śmieciuszek“, a Wodewil“ na widowisko sceniczne p. Walewskiego p. t. „Hulaj dusza“, którego bohaterem jest mistrz Twardowski.

W Alhambrze i Eldorado... o Ryczywole zamilczeć wolę.

W Teatrze Nowym od zeszłego tygodnia tłok; teraz zamykają kasę przed przedstawieniem, o bilety trudno się doprosić.

Dzieje się to za sprawą pani Zimajerowej, która w charakterze gościa występuje w tychsamyh operetkach, w których przed laty odtwarzała wszystkie niemal główne role, gdy była jeszcze stałą naszą primadonną i ulubienicą operetomanów.

Pani Zimajerowa próbowała przez lat kilka być „Frau Zimayer“ na scenach niemieckich i zapragnęła laurów zagranicznych, które w pojęciu naszych artystów rosną ze złotem liśćmi, skrapianemi, zamiast rosą, deszczem z brylantów.

Modrzejewska, Sembrich-Kochańska, Mierziński, zdobyli, nietylko sławę, ale i fortuny u obcych; to prawda, lecz od tego czasu ta zagranica wydaje się Golkondą dla wszystkich, którym się zdaje, iż mają takiesame talenta, takiesame głosy, i takiesame wyjątkowe warunki do zrobienia karyery.

Pani Zimajerowa w swoim zakresie jest artystką niepospolitą, obecnie może jedyną prawdziwą primadonną operetkową na polskiej scenie; ale gdzieindziej pomimo talentu i indywidualności, zastosowanej do rodzaju sztuki swej, musiała się spotkać z rywalizacją i przekonać, że lepiej królować stale na deskach warszawskiej operetki, niż wędrować po obcych scenach.

Wróciła tedy, jak się zdaje, skruszona, gotowa już pozostać u swoich i wyrzec się pogoni za oklaskami i złotem. Nie jest to przecież kapitulacja przymusowa, ale dobrowolna.

Niejednokrotnie zdarzało mi się na tem miejscu rozmawiać, że Warszawa muzykalnieje; zdawałoby się, iż ten gród urodzonych melomanów, któ-



rzy przychodzą na świat nucąc wyjątki z oper, operetek i koncertów, nie może być bardziej muzycznym i że popełnia się pleonazm mówiąc: „Warszawa muzykalnieje;“ a jednak poważnie mątyki, biorący bardziej poważnie zamiłowanie do pewnych sztuk pięknych utrzymują, iż obok zamiłowania potrzeba jej jeszcze odpowiedniego znawstwa i wykształcenia muzycznego.

Postanowiono tedy zabrać się do podkształcenia i publiczności, i sił wykonawczych.

Komitet Towarzystwa postarał się o utworzenie kursów, na których można będzie uczyć się gry na instrumentach dętych, kształcić na flecistę, waltornistę, puzonistę i t. d. obznajamiać się z teorią muzyki, z nauką harmonii i kontrapunktu, a wreszcie deklamacyi, potrzebnej w śpiewie i na estradzie lub na scenie.

Tej ostatniej mistrzem będzie p. Józef Kotarbiński, który wirtuozowstwo żywego słowa doprowadził wysoko i jest jedynym dzisiaj specjalistą, że tak powiem, mogącym dawać odpowiednio w tym przedmiocie wskazówki.

Uczniów i uczennic będzie miał zapewne sporo.

Komitet Towarzystwa Muzycznego nie poprzestał na założeniu takiego konserwatorium na mniejszą skalę, ale postanowił ułatwić chętnym amatorom naukę śpiewu bezpłatną, rozumie się: w chórach.

Potrzeba mieć tylko dobry słuch, głos i ochotę do nauki, aby zostać nieustannym uczniem w klasie p. Władysława Wiślickiego.

Podobno kandydatów już zgłosiło się kilkudziesięciu.

Wszystkie te postanowienia zasługują na uznanie i pochwałę, a na oklask zasługują zapewne wkrótce, gdy się zaczną publicznie okazywać rezultaty wprowadzanych w życie projektów.

Melomano, przestajesz być czczem słowem w syrenim grodzie!...

Quis.

## BŁĘDNA ŚCIEŻKA.

Szkie powieściowy M. WOŁOWSKIEGO.

(Dokończenie).

— Zastanów się!—ryczał zrozpaczony ojciec—łatwo ci to powiedzieć, nikczemniku, kiedy cię śmierć mojego dziecka nie nie obchodzi, kiedy całe życie stoi jeszcze przed tobą otworem; ale ja szaleję z bólu, ja, com ją oddał na zatracenie, teraz sam, sam jeden, jak kolek na świecie zostanę. Kto mi oczy zamknie, kto pocieszy, gdy ludzie tylko nienawidzić umieją, gardzą mną i wytykają palcami. I szlochał tak hofrat, głowę o mur rozbijał, a Rafał stał wobec tego zimny, spokojny i niemy.

Takąsamą obojętność zachował i przez cały czas pogrzebowej uroczystości, tak, iż wszystkim się zdawało, że strata żony wcale go nie dotknęła.

Po powrocie do domu z pogrzebu baron nie chciał się już więcej widzieć z Rafałem. Zawołał tylko do siebie Szultzego i rzekł:

— Oblicz się z tym gałganem, jednego grosza nie daruj i każ mu się natychmiast wynosić; co mu się należeć może — do grosza zapłać, co nam się należy, wyduś choćby z pod serca. W rachunkach bądź nieubłagany; może teraz zrozumie, co stracił.

Nazajutrz w pokoju Rafała zjawił się Szultze z grubymi książkami pod pachą i z urzędową miną.

— Jakże jestem panu wdzięczny! — ujrzawszy go, zawołał Rafał — żeś raczył do mnie przyjść. Właśnie pragnąłem z nim się rozmówić, proszę, siadaj pan. Zielona, jak panu wiadomo, nie należała jedynie do mnie.

— Tak, wiadomo—odparł Szultze.

— Do spadku po rodzicach należą jeszcze dwie siostry moje, które dotychczas ze schedy nic a nic nie otrzymały.

— A cóż to nas obchodzić może?

— Pana nie; wiem o tem, ale mnie obchodzi. Ten posag muszę spłacić koniecznie. Wymaga tego mój honor i moja uczciwość.

— Nie mam nic przeciwko temu, oile to się tyczy pańskiego honoru i pańskiej uczciwości, ale, oile się tyczy naszej kieszeni, zająć muszą tutaj pewne wątpliwości.

— A cóż mnie obchodzić mogą pańskie wątpliwości?

— Zupełnie taksamo, jak mnie posag sióstr pańskich.

— Jakto?

— Bardzo naturalnie; abyś pan mógł od nas żądać spłaty posagu, potrzeba, abyśmy panu byli coś winni; tymczasem rzecz się ma w stosunku zupełnie odwrotnym.

— Pan żartujesz?

— Nie, mówię zupełnie poważnie i właśnie z rozkazu pana barona przychodzę tutaj, aby zakomunikować, iż po smutnym wypadku, jaki zaszedł, nie ma on zupełnie zamiaru pozostawać nadal z panem w spółce, której czas kontrakt określił na lat trzy. Te trzy lata kończą się właśnie teraz: jako pełnomocnik więc barona żądam, zawsze wedle kontraktu, albo spłaty włożonych w interes przez nas kapitałów, albo też usunięcia się pańskiego.

— Co?! co?! — zawołał przerażony Rafał — ale cóż nareszcie skłania hofrata do takiego kroku?

— Pan pojmujesz: boleść ojca, lekceważenie jego córki przez pana,—są to dostateczne powody do niełaski. Czy da się przebłagać?—wątpię.

W sercu Rafała obudziła się dawna дума.

— Mój panie — zawołał — bądź spokojny, nie będę go błagał o przebaczenie. Dam sobie radę sam; jeśli taka wola hofrata to—rozejdziemy się. Proszę, przedstaw mi pan tylko rachunki.

Szultze wtedy z zimną krwią okulary na nos założył, księgę roztworzył i zaczął przedstawiać stan interesów Zielonej ze ścisłością prawdziwie niemiecką.

W miarę tego jednak, jak Szultze cyfry wykazywał i w bilansie ogólnym niebieskim podkreślał ołówkiem, czoło Rafała pokrywało się zmarszczkami i kroplistym potem.

Szultze każdą pozycyą najskrupulatniej tłómaczył, a gdy w ten sposób sprawdził cały bilans, gdy porównał rozchody i przychody, zakonkludował:

— Z tego więc wynika, łaskawy panie, żeśmy w interes włożyli 334.568 zhr. 48 centów, o zwrot której-to summy mamy honor najuprzejmiej upraszać.

Rafał zerwał się z krzesła.

— Pan oszalałeś; zkądże ja wziąć mogę taką sumę?

— W takim razie wystawimy Zieloną na sprzedaż i nabędziemy ją na licytacji.

— Ależ to prosty rozbój!

— Dziwna rzecz, doprawdy, jak taki trzeźwy, jak pan, człowiek może nazywać najzwyczajniejsze zabezpieczenie swoich interesów rozbojem. Osobista godność moja po takiej obeldze nie pozwała mi dłużej z szanownym panem prowadzić dyskusyi i nakazuje mi go pożegnać.

To mówiąc, Szultze ze złośliwym uśmiechem książki znów pod pachę włożył i wysunął się za drzwi, pozostawiając osłupiałego Rafała jego myślom i rozpaczom.

— Trzykroćstotysięcy guldenów!—zawołał Rajewski zrywając się z krzesła. Oczy rękami zasłonił, powietrze, jakby mu w piersiach zbraknąć miało, wciągnął całą siłą; chciał postąpić parę kroków, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa i bezsilny upadł na fotel.

Pod czaszką jego rozpoczęła się teraz szalona burza.

— Jakto?—myślał — więc wszystkie wysiłki, wszystkie poświęcenia do tego doprowadziły, iż mnie obca ręka z własnego gniazda wypędza; na toż głosiłem wielkie hasła, aby widzieć tak haniebne ich bankructwo. I to mnie, mnie, Rajewskiego, dziedzica imienia, które z podniesionem

czołem dźwigali przodkowie moi, spotyka obelga, hańba taka!

To ostatnie pytanie wydało mu się szczególnie potwornem; sumienie zadrgało, serce żywiej bić zaczęło, a rozsądek mówił:

— Cóż ty na tej ziemi ojców zrobiłeś przez ten czas cały?... Pracowałeś organicznie?... Ironia, fałsz... Tonąłeś w beczynności i sybarytyzmie, nie troszcząc się o nic, było ci z tem wygodnie... Sprzedałeś się kobiecie, której nie kochałeś; zgrzeszyłeś przeciwko narodowemu sumieniu, boś czerpał pieniądze takie, któremi gardzić powinien... Po drodze swojej obalałeś, niszczyłeś, ruinowałeś, lekceważąc prawa serca i honoru. Badyłski się powiesił — przez ciebie, matka umarła — przez ciebie, Marychna oszalała — przez ciebie Jadzi zatrąłeś życie, siostry i lud okoliczny doprowadziłeś do kija żebraczego: zawsze i wszędzie rozsiewałeś naokół zgniliznę i zatracenie. Miałeś iść do światła, a egoizmem swoim stwarzałeś coraz większe ciemności, zadawalnając się tylko tem, żeś miał pełny żołądek. Obraziłeś naród, rodzinę, ludzkość, aż w końcu sam znikczemniałeś.

Tak oskarżał Rafała uczciwy rozsądek, a on słuchał tego oskarżenia ze drżeniem, czuł jego prawdę i za serce się chwycił, wołając:

— Boże, Boże, przebaczenie mi daj, ratunek ześlij. Zamiast tego ratunku jednak zdało mu się, że z końca pokoju wychodzą zaczęły postacie poważne, o twarzach surowych, poznaczone cięciami szabli, na których malowała się groza i oburzenie.

Jeden z nich wysunął się naprzód, buzdygan w rękę trzymał, a wyciągnawszy go ku niemu, — zapytał grobowym głosem:

— Coś zrobił z ziemią ojców twoich?! Coś zrobił z mieniem naszym, coś zrobił z tym nie-szczęsnym ludem?!—Zmarnowałeś wszystko: bądź przeklęty! I poszedł dalej ten z buzdyganem, a na jego miejsce wysunął się drugi, trzeci, dziesiąty i każdy szeptał słowa przekleństwa.

Rafał przed temi postaciami swojej wyobraźni niemy stał, jak winowajca, aż póki na samym końcu nie wychyliła się postać niewieścia ze spuszczoną ku ziemi głową, ze złożonemi, jakby do modlitwy, rękami.

— Matko, matko moja, ratuj mnie, broń, jęknął. — I ona, matka, bronić go zaczęła.

— Nie potępiajcie, nie przeklinajcie, boć to nie winą było jego w całości. Zrodzon w ciemnościach, światła szukał, po błędnych ścieżkach kroczył, a najlepsze chęci miał. Jam temu winna, że mu drogi prawdziwej wskazać nie umiała, ja matka. Mnie sądźcie, mnie przeklinajcie. On się z upadku podniesie. Stara nasza дума wskaże mu drogi inne, prawdziwe, których bez uczuć, bez serca niema. On się weźmie nanowo do pracy, honor odzyska, uczciwość zdobędzie... przebaczenie.

Nagle postacie wszystkie z pokoju zniknęły. Rafał został sam, ale już innym człowiekiem.

Wyprostował się dumnie i zawołał, spoglądając dokoła:

— Tak, zmarnowałem wszystko, ale nie zmarnowałem jeszcze życia. Zielona nie moją już, to wszystko ich... Niemców, ale przedemną jeszcze ziemia cała.

I w tejsze chwili za czapkę chwycił, na ganek wybiegł i krzyknął z całych piersi:

— Konia!

Zapomniał jednak, że od dawien dawna rozkazy w Zielonej wydawali tylko Niemcy.

Nikt krzyku tego nie usłuchał, nikt mu konia nie przyprowadził.

Pobiegł więc sam do stajni, własnymi rękoma konia okulbaczył, wyprowadził na dziedziniec i żywo nań wskoczył. Potem uniósł się na siodle, raz jeszcze spojrzął na dworek i otoczenie Zielonej, rękawem wydobywającą się lżę z oka otarł i popędził naprzód.

W dziedzińcu brama była zamknięta. Przesadził ją jednym skokiem i w cieniu szarzejącego wieczora na jasnym tle zimowego krajobrazu zniknął.

Szydlik już wykladał swej dziatwie wielkie tajemnice abecadła, Anielka kołysała male niemo-



włę, Józia krzątała się koło gospodarstwa—gdy przed szkołą w Abramowicach ozwał się tentent kopyt końskich.

Wszyscy zdumieni spojrzeli po sobie, gdy nagle drzwi szkoły się rozwarły, a w nich ukazał się Rafał.

— Rafał! odezwało się nagle ze wszystkich ust.

— Tak, to ja. „Jeżeli uczujesz się kiedy nie-szczęśliwym, zajrzyj wtedy do nas“—powiedział mi Antoni. Oto jestem.

Jeszcze nie zdążył skończyć słów swoich, gdy Anielka i Józia podbiegły ku niemu, objęły go za szyję i gorącymi pocałunkami okrywały go. On te pocałunki z początku przyjmował bezmyślnie, potem zaszlochał jak dziecko i wołał: kłaję!

— Nie męczcie mnie, nie wstydzicie dobrocią swoją, nie karzcie, bom już ukarany; skrzywdziłem was, zmarnowałem wszystko, ziemię Niemcy zabrali, honor splamili!... ale wy nie wypędzajcie mnie ze swego domu, a do swoich serc przygarnijcie.

— B, a-ba, b, i-bi, b, o-bo, zabręczało w powietrzu; Anielka na ramieniu Rafała położyła swą rączkę i wskazując na sąsiedni pokój, w którym dzieci powtarzały pierwsze słowa nauki, — szepnęła:

— Oto jest nasza prawdziwa ścieżka.

Szydlik miał twarz uśmiechniętą.

Rafał słuch wyteżył i zdawał się pochłaniać to syllabizowanie głośne.

Twarcz coraz więcej zaczęła mu się rozjaśniać weselem; oczy w dal utkwili i zdawało mu się, że wszystkie chmury zniknęły, a na świecie zapanowała jasność. Po raz pierwszy w życiu uczył się spokojnym. W parę miesięcy potem odbyła się licytacja Zielonej. Hofrat Brekmann i Szultze zdziwili się niezmiernie, gdy w biurze notaryusza zjawili się inni jeszcze współlicytanci.

Byli to chłopcy z Abramowic, którzy wraz z Szydlikiem przyszli ocalić kawał ziemi rodzinnej od niewoli niemieckiej. Nabyli ją i mieli jeszcze wiele kłopotów z fabrykami, które im rządził i administrował Rafał, ale tym razem inaczej, niż dawniej. Teraz pracował jak inni i coraz spokojniej było mu w duszy, bo wierzył, że przy pomocy takich ludzi, jak Szydlik, z prawdziwej a dobrej ścieżki nie zejdzie.

Owe czarne chmury, które zaciemniały horyzont, zniknęły powoli z widnokręgu, i świeciło tam coraz więcej gwiazdek czystych, serdecznych, jakimi były odradzające się charaktery ludzkie.

K O N I E C.

## Z NIEŚMIERTELNYMI.

With the Immortals by F. Marion Crawford.

Powieściopisarz i literat angielski, piszący pod imieniem „F. Marion Crawford“, głowa czytana i myśląca, dla przedstawienia swoich pojęć o wielkich sprawach i wielkich ludziach świata zapożyczył od Lucyana formy rozmów z umarłymi: sprowadza nieśmiertelnych na ziemię, w dziką ustron półwyspu Sorrento, na skalisty brzeg morski, do zamku Castello del Gaudio pod Amalfi i tam każe im rozmawiać z rodziną angielską, przybyłą dla wytechnienia na kontynent. Miłe to, wykształcone, rozumne grono żywych składają: Lady Brenda, jej córka Guendolina, — co za imię! — zięć, lord August Chard i siostra jego Diana. Lady, kobieta czterdziesto-pięcio-letnia, jest pod niejednym względem najmłodszą ze wszystkich; była bowiem młodą w tych czasach, „kiedy młodość uważano jeszcze za przyjemną dobę życia“—czego o czasach dzisiejszych powiedzieć już nie można. Jej córka więcej brała sprawy życia na rozum, ale miała przytem dużo

poetycznego zapału; zamiłowana w muzyce, grała artystycznie; ubóstwiała męża, który ją nawzajem uwielbiał. Taki kult małżeński przychłodził państwu Chard tem łatwiej, że się dopiero przed dwoma laty pobrali. August Chard był oryginalnym, wygłaszającym zasadę, że z wyjątkiem szczęścia domowego wszystko, co istnieje, wraz z warunkami swego istnienia, jest szczerem złudzeniem — błagą. Na pierwsze lata małżeństwa filozofią taką każda kobieta narzuciłaby rada do-zgonnemu swemu towarzyszcowi; narzuciła ją też niezawodnie i Augustowi jego Guendolina. Uta-jona w nim mądrość była owiele więcej warta od wygłaszanej zasady. Pięknie wykształcony, jak każdy bogaty Anglik, jeśli go już natura wyjątko-wo nie upośledziła, August Chard zajmował się rzeczami poważnymi w sposób fantastyczny. W poglądach swoich na świat był w połowie re-wolucjonistą, w połowie zachowawcą. Wierząc w świat nadmysłowy, pojmował go zmysłowo. Dzięki tej jego wierze w jakąś materialną duchow-ność, rzucającą dogodny most pomiędzy tym a tamtym brzegiem Styxu, towarzystwo w Cas-tello del Gaudio mogło rozmawiać z Nieśmiertel-nyimi. Czujemy, że autor pragnie tu pomysł swój oprzeć na samych charakterach osób wpro-wadzonych do rozmów. Charakterystykę rod-ziny uzupełnia zwięzłe określenie czwartej oso-by do niej należącej, Diany Chard: „był to tem-perament poety a umysłownika“. Tempera-ment doprowadzał ją do zagłębienia się w filozof-ię, która nie jest niczem więcej jeno lekką poe-zyą logiki, — jeśli nie chce lub nie może zostać ciężkim, twardym trudem rozumu worywującego się w świat. Od młodej, poetycznej i zapewne pięknej kobiety — taką jest zwykle kobieta wpo-wieści, — nie podobna żądać, by dobrowolnie szła na ciężkie roboty w kopalniach: każdy ją chętnie przyjmie i z jej poetyczną filozofią. Nieśmiertel-ni nawet w pięknej kobiecie woła filozofią piękną od prawdziwej. Jakże zresztą o tę prawdziwą trudno! — Kto ją ma? i czy jest?

Sztuki czarnoksiężkie Augusta sprowadzają Nieśmiertelnych do towarzystwa przepędzającego rozkoszną wiosnę włoską na dzikiem urwisku w zatoce Amalfi. W noc księżycową, wracając już z przechadzki nadmorskiej, ujrzały kobiety człowieka siedzącego na wielkim głazie podmy-wanym przez fale. Głowę wsparł na rękę; zwró-cony ku morzu, wpatrywał się w niezmierny przestwór. Był to Heine. Spowiedź jego roz-poczęła rozmowę. Po zwierzeniach poety smutku i rozkoszy zapanowało długie milczenie. Nagle przerwały je czarowne dźwięki fortepianu:

— Ależ to musi być Szopena! — zawołała Diana. — Nigdy jednak nie słyszałam Guendoliny, żeby to grała....

Obejrzała się: bratowa jej siedzi na swoim miejscu.

— Tak, to Szopena — odpowiedział Heine z uśmiechem—i do tego sam Szopen! — Rzucili się wszyscy do pokoju.

„Przy fortepianie siedział człowiek z jasnym, pięknym obliczem, ubrany podobnie jak Heine, ale z większą elegancją. Owiewał go duch jakiejś precudnej godności, atmosfera niewysłowionego wdzięku i wyższości nad ludzi pospolitych. Miał spojrzenie, które tradycya przypisuje królom, ale którem natura, z królewską prawdzi-wie ironią, częściej darzy genialnych biedaków. Piękny włos jego był miękki i tak jedwabisty jak złota przędza; skóra przejrzysta jakby u kobiety, rysy miały lekki wyraz orlego oblicza a w wilgotnych oczach żarzył się jasny artystyczny rozum,—duch zarówno słodki, jak spokojny, ale ani zwiędły, ani zniewieściały, ale zdolny raczej do niedającej się niczem spętać odwagi i bohater-skiego oddania się bez granic: niechaj w nim tyl-ko drgnie struna uczucia.“

### I.

I tak wiązuje się pierwsza rozmowa z nie-śmiertelnymi. Przedmiotem jej sztuka. Gdzie są Heine i Szopen tam, oczywiście, musi być i romantyzm.

Szopen pierwszy odzywa się do swego znajo-mego, że bez romansu niema ani muzyki, ani literatury.

— Co rozumieć pod tym wyrazem? — zapytuje Guendolina.

— Heine da pani definicyą; dam potem i ja moje.

— Nie było między nami istotnej różnicy w poglądach. Ale powiedz ty pierwszy, jak rozumiesz romantyzm. Miło mi będzie posłuchać twej definicyi.

— Jest to najtrudniejsza rzecz w świecie do ujęcia, a jest przytem coś takiego, co wszyscy odczuwamy. Ja myślę, że podstawę romantyzmowi daje pewne zrzeszanie się pojęć. Gdy mówimy o pewnej okolicy, że jest romantyczną, bezwiednie zaraz mamy gotowy pomysł, którą nam pod-stawia pod jej piękno dany rodzaj przygody, naj-częściej miłosnej. Taka scenerya niekoniecznie ma być już wielką, ale koniecznie musi być piękną.

Nie pojmuję, jakby człowiek stojący na szczycie Montblanc mógł nazwać widok z niej romantycz-nym. Miejscowość przepyszna, ale ani zamieszka-na, ani dająca się kiedykolwiek zamieszkać. Widok jej nie podda umysłowi żadnego obrazu miłosnych dziejów. Jest olbrzymio rozległy, wielki, jak Dzwoniaty Symfonia Beethovena, albo jak wielka piramida; ale nie jest romantycznym. Więcej jest romantyzmu w jednym krajobrazie polskim, z małą bielejącą wioską na przodzie, z płaszczyną pól zielonych, z wieńcem zielonych lasów, obejmującym go dokoła. We wszystkich kierunkach symetrycznie ciągną się proste szare drogi, gdzie nigdzie tylko lekki, niemowłeco nieśmiały, wyskoczy pagórek. Co najmniej wyobraź-nia wytworzy tu tęgiego parobczaka z wielką czupryną na łbie, zalecającego się do hożej dziewczoi, — tam właśnie na skraju lasu, gdzie strumyk bierze początek i gdzie się zaczyna we-soły smug łączny. Nie—Mont Blanc nie jest ro-mantyczną. Zejdz tylko z tych śnieżnych szczy-tów — tu naprzykład, gdzie dzikie skały jeżą swe grzywy i zwieszają kędziory, jakby nagle skamieniały w jakimś szalonym wirze, ale gdzie za-razem baszty tego starego zamczyska nasuwają na myśl życie, które niegdyś tu wrzeć musiało, i da-wno już zapomnianych zmarłych. Macie już gotową romantyczność. Z tych szarych blank niejedna może maurytańska dziewczyna ostatnie spojrze-nie rzucała na swego kochanka—korsarza, rysu-jącego się na białym żaglu długiego czarnego statku. Piękny młody Konradin mógł się tutaj ukrywać, zanim go Frangipani zdradziecko wy-dał Neapolowi na śmierć. Tutaj może zawinął Bayard po turnieju w Barlecie. A dłaczegoby tutaj właśnie nie miała szukać wytechnienia Joa-na? tu nawet mogła uknuć morderstwo swego męża.

— Nie wiedziałem, że z ciebie taki historyk — wtrącił Heine.

— Nauczyłem się dużo od czasu, gdym fizycznie żyć przestał — odpowiedział Szopen spokojnie.— Ale wkraczam na twój grunt. Chciałem tylko dowieść, że łatwo jest dostrzedz żywioł roman-tyczny w takiej okolicy, którą można w myśli swojej zaludnić. Jeżeli rzeczywiście nie wyda-rzyło się tu nic podobnego, tu, na tem miejscu— to bardzo prostem jest domniemanie, że się wy-darzyć mogło — a dla opowiadania to wszystko jedno. Zatem romantyczność jest możliwością nawiązywania wyobrażeń ludzkich na pewne rzeczy zmysłowe, niezależnie od czystego piękna samego przedmiotu.

— Twierdzę — mówił dalej Szopen — że nie-jedna wspaniała muzyka podoba się nam tylko przez zmysły. Muzyka jest dyalogiem dźwięków. Nuty stawiają kwestye i nuty same na nie odpo-wiadają. W pisaniu fug drugi temat naukowo nazywa się „odpowiedzią“. Jeżeli niema odpo-wiedzi, albo też jest zła, niema wogóle i muzyki. Mówi nam to ucho samo. Ale taka muzyczna rozmowa dźwięków może się podobać przez czyste zadowolenie zmysłu muzykalności, albo też podo-ba się dlatego, że poza swoją muzyczną skończo-nością poddaje nam ludzkie uczucia i namiętności i większy nieskończenie obszar natury naszej dla siebie zagarnia. Nie sądzę zaś, ażeby wielka



pyramida nasuwała uczucia i namiętności, — wbrew całej swojej symetrii. Może być, iż wywoływała niegdyś sympatyczny dreszcz w piersi Cheopsa, ale nas już nie wzruszy tak, jak wewnątrz S-go Piotra, albo Opactwo Westminsterskie, albo „Campanile“ Giotta we Florencji. Są to budowle romantyczne, gdyż nietylko odznaczają się symetrią, ale stanowią jakby kamienne opowieści z ludzkiego życia, i śmierci, i nadziei, i smutku — z wszystkiego, co wszyscy tak dobrze rozumiemy. Mojem zdaniem, muzyką romantyczną jest ta, która nam w duszach zostawia coś więcej ponad zadowolenie naszego zmysłu piękna muzycznego. Sądzę, że Mozart był założycielem tej szkoły; dla niej i ja sam pracowałem; — Wagner zaś był ostatnim jej wyrazem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## PRZEGLĄD TEATRALNY.

LXXV.

**Florek**, krotoczwila w 3-eh aktach, *Adolfa Abrahamowicza i Ryszarda Ruskowskiego* — Teatr Nowy.

**Koniki polne**, komedia w 3-eh aktach, *Adolfa Walewskiego*, autora sztuki „**Hulaj dusza!**“ — Teatr „Wodewil“.

Choroba p. Morozowicza opóźniła sprawozdanie. Grał ten zdolny artysta bohatera farsy spółkowej, ale, raz tylko wystąpiwszy, zachorował, i w jego zastępstwie, — które zapewne długo nie potrwa, — Florka przyjął na siebie p. Słiwski, od kilku tygodni powszechnie chwalony nowy reżyser mało-nowego teatru, i nie tylko artysta reżyser, ale i majster od dramaturgii: dobre przerobienie wybornej sztuki ludowej *Nad przepaścią* jemu właśnie zawdzięcza ten teatr, zimą mały, latem nowy.

Mam szczerze powiedzieć? tom się zawiódł, i na *Florku* pp. Abrahamowicza i Ruskowskiego, i na *Florku* p. Słiwskiego. Ten ostatni nie odpowiada za swoje dobre chęci, ale do ludzi, którzy napisali *Męża z grzeczności*, można mieć pretensją za *Florka*. Sztuka uważana jako przygoda, jest nietylko nawskroś nieprawdopodobną, ale w połowie swej dość przyzwoitej rozciągłości nudną — co się dotychczas nie zdarzało uzdatnionej spółce. Cały akt II jest taką szopką, że wprost nadaje się do teatru marynetek dla dzieci — i człowiek nie-dziecko, zamiast bawić się komicznymi naprężeniami czy węzłami, przeciwnie, doznaje jakiegoś niesmaku i skłonności do ziewania. Nie było może dotychczas sztuki, w którejby drzwi grały tak wielką rolę, jak w tym nieszczęsnym akcie II; a ledwieśmy po zapadnięciu zasłony odetchnęli, już nas nowe drzwi, prowadzące do skrytek na ludzi, czekają. Temat słodczy sercowej i zakochania się Florka, którego natura stworzyła na mazgaja, a los przerobił na komornika, przypomina sztukę francuską, niegdyś u nas grywaną, *Komornik poeta*; ale opracowanie tego tematu we *Florku* porównać się nie daje z opracowaniem sprytnych Francuzów. I sam mazgaj byłby lepszym, gdyby nie grzech pierworodny wszystkich dzieci tej muzy, która łaskami swemi jednocześnie obdziela dwa umysły: gdyby nie przesada, nawet już poza granice karykatury sięgająca. Nie chcę w tej chwili dowodzić potrzeby i wskazywać granic i rodzaju prawdopodobieństwa nawet w takich żartach i populankach, z jakich pp. Abrahamowicz i Ruskowski uczynili sobie specjalność. Autorowie *Florka* nie dostatecznie nad tym rodzajem i temi granicami dotychczas przemysłiwali, a szkoda, bo samych siebie krzywdzą.

Nie dość było autorom zrobić *Florka* mazgajem, czy gołąbkim układanym na jastrzębia: musieli jeszcze zrobić go takim niedołągą, że adwokat wysyłający komornika na wieś musi go literalnie od stóp do głów ubrać. Adwokat Heliodor sam ma niewiele, bo się jakoś klienci bez niego obywają, ale co robić? — chłopczyśko

zmarłby w drodze — choć do tej Psiej Wólki tak nie daleko ze Lwowa. A ubieranie to i dopasowywanie różnych części stroju odbywa się na scenie i integralnie do komizmu sztuki należy. Mieli autorowie zupełne prawo do spojenia komornika, mieli prawo do rozkochania go w Wandzie: są to rysy prawdziwe, życie nieraz je ze sobą przynosiło. Szkoda tylko, że dalsze koleje rozkochania z mniejszą wytknęli bohaterowi swemu zęczością, niż wyjście z fizycznego upojenia. Dlatego też w akcie III *Florek* już jest bezbarwnym. Finał malowany według zwykłego patronu. Drzwi, jak nawiązały, tak rozwiązują intrygę, nieporozumienie się wyjaśnia, — dyska kierowa wszystko kończy.

Więcej jeszcze od owej karykaturalności osób i nadużycia drzwi szkodzi sztuce prześladowanie jej rozmaitemi pomysłami przystawkowemi. „Nie trzymaj dziesięciu srok za ogon“ — mówi mądre przysłowie. Zamiast rozwinąć temat komornika, który byłby daleko lepszym fabrykantem powideł, niż exekutorem wyroków sądowych, pp. Abrahamowicz i Ruskowski podoczepli do niego z kilkanaście innych, ubocznych pomysłów. Tu należą: miłość Rzucalskiego dla Zenobii, zazdrość Agnieszki, potworna głupota, gminność i śmieszność dwóch braci Prosiątkowskich, którzy legitymują się samem nazwiskiem swoim, a znajdują jeszcze współzawodników w dwóch także braciach Szczygielskich, równie wysoko w hierarchii ducha postawionych. Uwielbienie matki dla jednej, a ojca dla drugiej pary tych trzandli — jest czystą facecyową karykaturą, bez żadnego oparcia w charakterach. Gonitwy obu par za Wandą w takiej postaci, jaką jej nadała spółka literacka — nawet przy najgrubszej przesadzie nie znajdziemy w życiu dworu wiejskiego. Są podobne zaloty, ale w niższych warstwach tak zwanej klasy rzemieślniczej, bo nawet nie u ludu wiejskiego, który ma inne swoje, szlachetniejsze, przez zwyczaj odwieczny uświęcone formy.

Dobry jest w sztuce stosunek poczciwie serdeczny Jadwigi do Wandy, dobry zarys sowizdrzała Edwarda i starego dziadzi Onufrego, który tylko zbyt często, zbyt jednostajnie zapomina co mówi i czyni. Ma to być daleki krewny — dziesiąta woda po kisielu — Jowialskiego. Rysunek adwokata bez spraw zajmujący; ale jego brat Andrzej Pietrzycki, mąż owej Zenobii, tak jakoś ulepiony, że ani węz, okiem pochwyć go nie można. Wsadzenie go do obory jest tyle warte, ile podstawienie za świadka przy komorniku.

O grze w farsach pisać nie mam zwyczaju: muszę jednak wymienić p. Sikorskiego jako Heliodora, aby go pochwalić. Jest to doskonały artysta do ról starych naiwnych; jakbym go widział jeszcze w *Różowych dominach*, farsie francuskiej, w której jako mąż z pod pantofla puszczający się na *cabinets particuliers* artysta jest typowym. Pani Baumanowa (Wanda), pan Turczynowicz (Edward), pani Micińska (Agnieszka) — nie krzywdzili autorów — a byłoby za ryzykownie mówić to o innych przedstawicielach i przedstawicielkach *Florka*.

Nie umiano się poznać na wartości starej babki w *Konikach Polnych*, ani na szlachetnem zarysowaniu jej wnuczki Stasi, ani na poczciwym stosunku majstra czy nadzorca Stanisława do fabryki i jej właścicieli, ani wogóle na życiowej prawdziwości kilku postaci takich, jak Fruwalska, Stanisław, Stasia, Antoś, stających godnie w swej prawdzie obok Babci Krystyny, i osądzono surowo sztukę za pajacowatą rodzinę Koldrasińskich, za kilka nauk danych przez Marcinkiewicza, za nierozumną konstrukcją charakteru mecenasa i wreszcie za widoczny jeszcze w p. *Adolfie Walewskim* brak wprawy, którego nie pokrywa bynajmniej okoliczność powołana na afiszu, iż autor *Koników* i sztuki *Hulaj dusza!* jest jedną i tą samą osobą.

Nazwa *Koników polnych* znajduje dla siebie usprawiedliwienie w treści sztuki. Co dziad i ojciec zebrali, to synalek i matka, lekkomyślna lafirynda, rozpraszają. Fabryka kapeluszy chyli się do upadku, ale ratuje ją Marcinkiewicz, buchalter a popolsku „rachmistrz“, wzamian biorąc tylko rękę Stasi, dziecka, które odrodziło się od

matki i jest równie poważnem, jak tamta lekkomyślność. Ratunek cudowny z niczego, ale ponieważ młodzi i bez niego się już kochali — zbrodni więc wielkiej w tej cudowności niema. Stasia ma rysy niezaprzeczenie umiejętną ręką rzucone i, jak w całej sztuce znać człowieka, co pisać może i będzie, tak znać go i w całym ustosunkowaniu obojgu młodych: ona poświęca się dla wrzekomej kariery i miłość swą tłumi, on zamyka się w dumie szlachetnej i dopiero wtedy z niej wychodzi, gdy już i społecznie wyższym jest od swych pryncypałów. Babka Krystyna zbliża ich i ośmiela, najpierw bezskutecznie, potem już z powodzeniem. Jest to bardzo prawy, prosty, miły charakter. Takich starości więcej, — bo pod każdym jasnym *dziś*, musiało być i czyste *wczoraj*. Babcia Krystyna zasługuje na to, aby o niej już w literaturze dramatycznej nie zapominać. Cała sztuka potrzebuje przerobienia drugiego aktu, to jest zniżenia skali komizmu, osiąganego zapomocą potworności, potrzebuje lepszego mechanizmu psychicznego w mecenasiu, potrzebuje wreszcie — i gry lepszej. Po wprowadzeniu zmian, zagrana na dobrej scenie, wiele-by zyskała. Rola Babci jest bardzo wdzięczną. Trzeba przyznać, że pani Trapszowa dobrze ją zagrała. Był i p. Trapszo dobrym Stanisławem.

Stanisław Krzemiński.

## NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 6 Sierpnia, 1889 r.

Cel i znaczenie Wystawy Paryżkiej, jej rozmiary, koszt, bilety wejścia (*tickets*). — Koszta budowy wieży Eiffela. — Wewnętrzna organizacja wystawy. — Przewodnik. — Pałac Trocadero i jego ogrody. — Wystawa *retrospektywna* sztuki francuskiej. — Ogrodnictwo. — Pawilon leśny. — Most Jena. — Wejście na Pole Marsowe. — Historia mieszkań człowieka. — Użytek naukowy z wieży Eiffela. — Ołbrzymia panorama zakładów nafty. — Pałac sztuk wyzwolonych. — Wystawy obcych krajów. — Srebro Stanów Zjednoczonych Ameryki. — Wroby złotnicze z Rosji; przezrocyste emalie. — Inkrustacje hiszpańskie z Toledo. — Wydział francuski. — Galeria maszyn. — Jeszcze inne wystawy. — Pałace i pawilony Pola Marsowego. — Plac Inwalidów. — Zakłady rządowe i kolonialne. — Gmach Ministerjum Wojny. — Egzotyczne wystawy i dziwadła. — Cyganie. — Ulica Kairu. — Żywe dodatki do wystawy.

(Dokończenie)

Zaraz przy wejściu spotykamy ciekawą wystawę wszystkich narzędzi służących do wydobywania, przewozu i rafinerii oleju skalnego i nafty. Ztąd wstępując na pierwsze piętro, mamy przed sobą ogromną panoramę, składającą się z dwóch części — jedna z nich przedstawia ogólny widok pokładów naftowych i ich eksploatacyi w Okręgu Washingtonskim, w Stanach Zjednoczonych, druga zaś widok eksploatacyi nafty w Baku na Kaukazie.

Ciekawy jest to widok — tem bardziej, że każda z tych dwóch części zachowuje swój właściwy charakter, z wyrazistą różnicą, nietylko widoków samego kraju, lecz ludzi, klimatu i środków technicznych. Jest to więc, nietylko interesujące i zabawne przedstawienie w żywym obrazie całego ogromu tej nowej, żywotnej siły naszego przemysłu, lecz jest to pokazanie w pouczający sposób, każdemu tego, co by potrzebowało wiele czasu i wiele pieniędzy do zwiedzenia i poznania na gruncie.

Teraz, minawszy wieżę Eiffela, jesteśmy wśród ogrodów wystawy, na Polu Marsowem. Po lewej ręce wznosi się piękny, ogromny pałac Sztuk Pięknych; po prawej — nie mniejszy ogromem, ale mniej może ozdobny pałac: Sztuk Wyzwolonych (*Arts libéraux*).

O pałacu Sztuk Pięknych i o tem, co w sobie zawiera, mówiliśmy już obszernie w poprzednich listach; nie wracam więc do wyczerpanego, jak myślę, przedmiotu, lecz przechodzę do Pałacu Sztuk Wyzwolonych, który zajmuje lewe ramię olbrzymiej podkowy, otaczającej całe Pole Marsowe; średnicę jej stanowi galerja centralna, ze swą ogromną kopułą, pod którą stajemy właśnie w tej chwili.



Pałac lewego skrzydła, pałac Sztuk Wyzwolonych, jest to wystawa *historii pracy*. Organizatorom tej wystawy chodziło głównie o zebranie i uporządkowanie (w celu nauczania przykładem) wszystkich wyrobów pracy ludzkiej od czasów najdawniejszych aż do naszej epoki. Postanowiono przytem urządzić to w taki sposób, aby pokazać otrzymany postęp i dokonywane się zmiany w chronologicznym ich ciągu, wtajemniczając zarazem publiczność w zadania i sposoby pracy ręcznej i pracy mechanicznej.

Łatwo zrozumieć, iż było materyalnem niepodobieństwem przedstawienie oczom zwiedzającej wystawę publiczności pierwotnych oryginalnych okazów wynalazków; zastąpiono je więc modłami i podobiznami największej dokładności. Jest to szczęśliwy pomysł, bo szukający nauki łatwo się potrafi przeświadczyć o dokonanych postępach, mając przed oczyma doskonały model tego wynalazku, którego oryginał przechowywany jest ze staraniem i zazdrośną pieczą w narodowych zbiorach każdego kraju.

Trzeba przyznać jednak, że ta obszerna—zbyt może obszerna, wystawa—jeżeli uczy specjalnego technika, z trudnością zatrzyma uwagę tłoczącego się ogółu. Ten dział wystawowy rozpadła się na pięć głównych części—jako to: *Nauki antropologiczne i Etnograficzne; Sztuki wyzwolone; Sztuki i rzemiosła; Środki i sposoby przewozu; Sztuka wojenna.*

Nie mogę tu zatrzymać się nawet na chwilę, bo wszystko jest równie ciekawe, równie zajmujące i ważne. To pewna tylko, że, aby skorzystać z tego ogromu różnorodnych okazów, trzeba choć w części być specjalistą i jakkolwiek otrząskanym z nauką. Itak naprzykład, w trzecim wydziale, *Sztuk i rzemiosła*, który zajmuje ostatnie budowle pałacu i jego portyków—znajdujemy przykłady albo przedstawienia tego wszystkiego, co może zajmować inżyniera, artystę przemysłowego, hutnika, fotografa, ślusarza—z całym zasobem ich narzędzi i wyrobów; z dokonanyim postępem i z modłami rozmaitych czasów. Niedosyć na tem. Nawet zakłady i pracownie każdego rzemiosła są tu odtworzone z całą dokładnością przeszłości—tak naprzykład, sławne antwerpskie muzeum, chwała typografii, Muzeum Plantin'ów, występuje z całą swą fiziognomią przeszłości.

Zanim przejdziemy do wystawy czysto przemysłowej francuzkiej, która zajmuje ogromny przestwór środka tej podkowy, co się zowie Galeryą Centralną, wkraczamy w granice grup cudzoziemskich, którym wydzielono obszerne miejsce w obu ramionach podkowy.

W ramieniu lewem, zawsze biorąc od galeryi centralnej, gdzieśmy skończyli przegląd Sztuk wyzwolonych, znajdujemy cudzoziemskie wystawy następujących krajów: Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, Włoch, Szwajcaryi, Rosyi, Norwegii, Rumunii, Portugalii i Hiszpanii, Grecyi, Serbii, Japonii, Syamu, Egiptu, Persyi i t. d.

Niepodobna, nawet w skróceniu, dać wam wyobrażenia o szczegółach tej wystawy. Ciekawe to są zapewne okazy, ale po większej części widziane już na innych wystawach świata. Musimy więc się ograniczyć do wskazania wyjątkowo ważnych lub ciekawych przedmiotów.

Pierwsze miejsce należy się złotniczemu przemysłowi Rosyi. Zatracony od wieków sekret tak zwanej przezroczystej emalii (*les émaux translucides*), sekret przyniesiony z dalekiego Wschodu, odnaleziony został, jak się pokazuje, przez rosyjskich złotników w Rosyi, którzy też wystąpili na tej wystawie z okazami nadzwyczaj pięknymi, tak pod względem tej emalii, jak czystości i piękności form złotych przedmiotów, które ozdabia emalia. W oddziale Stanów Zjednoczonych zwrócimy szczególniejszą uwagę na srebrne wyroby złotnicze,—wazy, urny, puhanry, imbryki, kubki wszelkiej formy, pokryte wypukłemi lub wklęsłemi zdobami. Odnaczają się one niezmiernym przepychem i bogactwem. Są to powiększej części naśladowania starożytnych form angielskiego złotnictwa z XVI i XVII wieku. Inkrustacje złote i srebrne na stali i miedzi, wyroby specjalne z Toledo w Hiszpanii, doskonałością i pięknnością formy przechodzą wszystko, cokolwiek zrobiono w tym względzie gdziekolwiek na świecie.

Tu wchodzimy do centralnych galeryi, których ogromny przestwór, jaśniejący przepychem i wytwornością ornamentacyi, zapełnia przemysł francuzki we wszelkich gałęziach. Na całą ogromną szerokość Pola Marsowego, przecinając wnętrze równoległoboku, w głębi tej podkowy—panuje olbrzymia, zaszklona galerya maszyn. Z wyjątkiem Szwajcaryi, Belgii, Stanów Zjednoczonych i Anglii—jest ona zapełniona maszynami przemysłu francuzkiego. Aby dać jakiegokolwiek, choćby słabe, wyobrażenie o tem, co się w tej galeryi zawiera—potrzebały streścić całą historią przemysłu z ostatnich lat trzydziestu. Zostawiam to ludziom zawodowym i ciekawym widzom, dla których to może być nauką i mieć swój szczególny powab.

W tym wydziale, gdzie się skupiły wszystkie siły francuzkiego przemysłu, jest czemu się przypatrzeć i nadziwić; ale jakże to wszystko pomieścić w jednym, skromnym liście? kiedy ci co piszą specjalne i codzienne sprawozdania, — dziś, po trzech miesiącach, nie wyczerpali jeszcze przedmiotu. Są ludzie, co zapominając o reszcie, stają całemi dniami w zachwycie przed dyamentem, największym i najpiękniejszym z tych, jakie znaleziono na Przylądku Dobrej Nadziei. Zapewne, piękny to kamyczek i jasny i światły; powiadają, że ma wartość—dwunastu milionów! Wszystko to być może, ale dla mnie nie ma on żadnego uroku. Widzę obok naśladowane, i pytam się, czy dla oka jest jaka różnica? A jeśli niema? płacić dwanaście milionów za prawdziwy? zdawać się na słowo oceniających to ludzi biegłych w swym zawodzie?—a jeśli się omyła? Wolę już, chociaż to niema nic wspólnego—te przepyszne wyroby makatów z fabryki Gobelinów i z Beauvais,—te niesłychanej piękności porcelany z Sèvres, i tyle innych przedmiotów, których artystyczna piękność i prawdziwa wartość, nadaje rzeczom użyteczny wdzięk niezrównany z niczem.

Przechodzimy tu znowu do prawego ramienia tej olbrzymiej podkowy, gdzie również znakomita przestrzeń wydzieloną zoseła cudzoziemskiej wystawie. Tu się pomieścili: Austro-Węgry, Belgia, Holandia, Dania, Anglia i jej kolonie. Nie braknie tu, ani bogactwa, ani smaku, ani tej wytworności, którą cechuje współczesny przemysł Europy, a który nas tak drogo kosztuje. Ale wy to wszystko widzieliście już u siebie i u sąsiadów, nie mogę więc wpaść w zachwycenie przed tem lub przed owem, kiedy to nie wychodzi z obrębu zwyczajnych proporcji przemysłu. Idziemy więc dalej, i przez ogromną galeryą rzeźby, gdzie zebrano wszystko, cokolwiek od lat dziesięciu wytworzyła w tym względzie Francya lepszego—wchodzimy znowu do pałacu Sztuk Pięknych, który zamyka prawe ramie podkowy.

Znowu przed nami ogrody, sadzawki, fontanny, o których mówiliśmy już dawniej—a wśród nich rozsiane: pałace i domy, chaty niby wieśniacze i wspaniałe pawłony, zapełnione fajansami, porcelanami, w najdziwniejsze ozdoby i formy; pomiędzy najpiękniejszymi, są: Pałacyk ks. z Monaco, brazylijski, argentyński, mexykański i t. d. W wielu z nich pomieszczono ciekawe bardzo wystawy z krajów Ameryki Południowej. Zwiedza się to z łatwością i ma pewien urok wyjątkowy, który nawet przewyższa wrażenia wielkiej wystawy.

Rozprawiawszy się z tym dodatkiem wystawy, za 25 centymów wsiadamy do odkrytych wagonów drogi żelaznej, tak zwanej „Decauville“, i wzdłuż wybrzeża Sekwany, które zapełnia wystawa rolnicza, przenosimy się na tak zwaną Esplanadę Pałacu Inwalidów, gdzie pomieszczono wystawę Sztuki wojennej i wystawy exotyczne kolonii francuzkich.

Ta esplanada, *alias* Plac Inwalidów, w całej swej długości przecięta jest brukowaną, szeroką ulicą. Po prawej jej stronie wznoszą się zakłady rządowe, biorące udział w tej wystawie—jako to: poczty i telegrafy, szopa aerostatyczna, prochy i saletra, wystawa Ministerium Wojny, Zakłady dobroczynności (*Assistance publique*), Zakład higieniczny, wody mineralne, Zakłady klaszary robotniczej.

Po lewej stronie ulicy znajdujemy wystawę kolonialną, z budynkami urządzonemi w guście

tych, jakie stanowią odrębne typy mieszkań każdego kraju. I tak spotykamy pałace Algieru—Tunisu, Madagaskaru, Anamu i Tonkinu, Indo-Chin, Martyniki, i t. d.

Wspaniała budowa pałacu Ministerium Wojny—i jego wystawa wojskowych rzeczy zasługują na wielką uwagę. Zebrano tu i uklassyfikowano wszystko, cokolwiek zblizka lub zdaleka tyczy się wojskowego rzemiosła we Francyi—zaczawszy od pamiątek pozostałych po sławnych wojakach wszystkich wieków—zapożyczonych u rodzin, lub w prywatnych i publicznych zbiorach. Od ich portretów, malowanych z natury—aż do ubiorów wojska z rozmaitych epok—do broni rozmaitego kształtu—do armat i wszelkich impedimentów, jak tu powiadają, wojskowych. Jest to wystawa niezmiernie nauczająca i interessująca—a urządzona bardzo systematycznie i umiejętnie, w taki sposób, że się ją przebiega coraz stopniując i rozwijając pojęcie o przemianach, jakie czas poczynił w ludziach i rzeczach.

Gmachy i zabudowania kolonialne, jeżeli mogą zadowolnić ciekawość pospółstwa, co się tu tłoczy bezwiednie, jak trzoda owiec—nie przedstawiają wielkiego pożytku dla oświeczonej publiczności; bo jak jeden człowiek, a nawet kilku ludzi, przeniesionych na obcą ziemię, na pokaz i zabawę, nie daje wyobrażenia o swym ojczystym kraju, tak te budowle, wielkim wzniesione kosztem—zapchanne wyrobami dalekiego wschodu, zaludnione po największej części, szumowinami tych krajów, zebranymi na bruku miast portowych—nie dają wcale wyobrażenia o tem, co nam chciiano pokazać w najlepszym świetle.

Wyroby tych dalekich krajów—owoc przemysłu, będącego jeszcze w dzieciństwie—mogły dawniej, przy trudnych stosunkach przewozu i handlu, mieć pewną wartość, *pretium affectionis*; ale dziś, przy tej łatwości, z jaką przenosimy się z miejsca na miejsce—w obec tak świetnych występów naszego przemysłu, tracą one wszelką, wyłączną zaletę—i wartość ich o tyle waży, o ile wyłączny i wyjątkowy gust, kilku lub kilkunastu osób, zechce się zadowolnić ich naiwnem naśladowaniem wyrobów prawdziwego przemysłu. Japonia i Chiny są, ma się rozumieć, wyjęte zpod tego prawa.

Jeśli tak jest z wyrobami, cóż dopiero powiedzieć, o ludziach, o kobietach, które tu posprowadzano do zabawy? Są to, jak mówiłem, najbrudniejsze szumowiny, fermentujących namiętności i brutalnych, i brudnych, i sprośnych.

Zaczęto od nędznych garnkuchni—zaludnionych usługą i muzyką cygańską. Byli to Cyganie z Węgier i z Wołoszczyzny. Dziś sprowadzono Cyganów z Hiszpanii. Co do brudów i cynicznych demonstracyi—nie ustąpią oni nikomu. Ale że to są *Gitanas* z Grenady—*bravo Gitanas!* I tak jest na Ulicy Kairu—na Polu Marsowem, gdzie brudne i zszarżane almee dokazują za kilka groszy najśprośniejszych popisów swawoli, w Tunetańskim zaułku na Placu Inwalidów, gdzie pokazują taniec *brzucha*, w teatrze Anamitów—gdzie brud i odór walczy o lepsze z dziką i barbarzyńską muzyką—i przedstawieniem, chotycznej i niezrozumiałej mimiki aktorów i aktorek; w kampongu Jawańczyków—gdzie ci pokażą, zawsze pełne sprośności, tańce i kontorsy dziewczę słońca,—zebranych na bruku Hamburga i Amsterdamu.

Co tego rodzaju podejrżane dodatki mogą mieć nic wspólnego z wystawą powszechną?—wiedzą o tem chyba tutejsi ludzie, tak biegli w eksploatacyi, ciekawości i głupoty ludzkiej! Ale ponieważ na tej wystawie, której główne tylko i jaśniejsze zarysy dałem wam w tej korespondencyi—jest tyle pięknych, wielkich i użytecznych rzeczy; ponieważ, w każdym razie, wystawa ta jest dziełem pracy i inteligencyi ludzkiej, które w niej ziożyły najświetniejsze i najdroższe swe skarby; można zatem przebaczyć, jeśli co się znalazło błahego lub wstrętnego na ubocznych jej ścieżkach—wszak i na słońcu są plamy.



## DRUGA ŁZA.

— Pytasz, czy zechcę powierzyć ci życie; wpięć jednak, nim odpowiem, wiedzieć muszę, jak żyć będziemy?

— Jak! — ze zdumieniem i jakby niezadowolaniem powtórzył. — Wiesz przecież, kuzynko, że ubogim nie jestem i że niczego szczerze ci nie będę! Pamiętam o tem, że kobiety lubią brylanty i piękne stroje: nie obawiaj się więc, aby ci kiedy tych gałganek i świecideł brakło...

— Nie zrozumiałeś mnie, Stanisławie — powiedziała z lekkim smutkiem. — O nic podobnego nie pytałam i dziwię się nawet, jak można sądzić mię w ten sposób. Jesteś przecież moim kuzynem, a razem spędzone dziecięce lata powinny cię były przekonać, że taką nie jestem. Nie brylantami, których nie mam, zyskać twe serce zdołałam i nie niemi też nadal zachować je pragnę. Pytałam tylko: jak sobie urządzimy życie?

— Wytłómacz się jaśniej, proszę cię! — zawołał z żywym już teraz zainteresowaniem.

— Stasiu! — powiedziała ona słodkim i przejmującym, jak pieśczęta, głosem. — Czy nie sprzykrzyło ci się jeszcze życie, jakie prowadzisz?

— I owszem! — z przymuszonym na ustach odparł uśmiechem — i jest to nawet jeden z powodów, jakkolwiek najdrobniejszych, naturalnie, dla których pragnę, abys zechciała stać się życia mego towarzyszką.

— Zatem już nie sam, lecz wraz z zemną ciągnąć będziesz dalej to puste i bezcelowe życie. Nie sam już, lecz wraz z zemną z wizyty na wizytę, z zabawy na zabawę przechodzić będziesz... Mamże ja całą swą chwałę i zasługę w tem widzieć jedynie, aby u mnie przyjęcia były najświetniejsze a toaleta najbogatszą, a ty, — aby gatunek twych cygar najwytworniejszą odznaczał się wonią?

— Nie powabny przedstawiłaś obraz naszego przyszłego pożycia, lecz cóż poradzić na to? — zauważył markotnie trochę — Zresztą, jest to złe nieuniknione i takie życie nie my jedni prowadzić będziemy.

Zdawała się zastanawiać przez chwilę, może w cichej modlitwie, szukając zniewalającej siły dla słów swoich.

Widocznie szlachetna myśl ją ożywiała, bo niezupełnie regularna jej twarz dziwnie sympatyczną, prawie piękną się stała.

— Czy nigdy, Stasiu, nie przyszło ci na myśl, — zapytała — że masz swój ziemi kawałek, czy nigdy nie zapragnęłaś stać się moralnym kierownikiem tych, którzy w jednym z tobą zrodzeni zakaćku, są ci przecież braćmi młodszymi? Czy nigdy nie zamarzyłaś o tem, aby podnieść i upiększyć ten kawałek ziemi, który Bóg twojej powierzył pieczy? A jeżeli już nie podnieść, to chociaż utrzymać i zachować go takim, jakim go po przodkach odziedziczyłeś!

Ogień gorącego uczucia błyszczał w jej oczach, kiedy głęboko smutnym głosem ciągnęła dalej:

— Stasiu, jak grzeszną jest lekkomyślność taka, jak ciężką kiedyś sprawę Bogu zdać będziesz musiał, — Bogu i ojcom twoim!

Na skromnym wiejskim cmentarzu śpią oni cicho, lecz czyliż sen ich takim będzie, kiedy obce dłonie w posiadanie obejmą ten kęs ziemi, gdzie spoczywają ich prochy, kiedy obce stopy deptać je będą?... A przecież, pomyśl tylko, chciej zasta-

nowić się trochę: wszak do tego niechybnie przyjdzie, przy takim marnotrawnym życiu, jakie prowadzisz obecnie!...

I czy ci to wystarcza, czy ci to wystarczać może? Pomyśl, czem jesteś obecnie, czy możesz się nazwać prawdziwym człowiekiem, prawdziwym kraju obywatelem? Czyż jest nim ten, kto na zbytki i bezcelowe życie marnuje odziedziczoną po przodkach ziemię, czy ten raczej, kto dla podniesienia ogólnego dobrobytu i oświaty ohotnie i ofiarnie pracuje...

Nie nam to wolno lekkomyślnie prowadzić życie, nie nam — dla Boga! Obudź się z letargu, w jakim dusza twoja spoczywa, spójrz tylko dokoła jasnym i trzeźwym okiem: a trwoga i ból ściśnięte ci serce i takim świętym stygmatem czoło naznaczy, że już nie znęca cię liche powaby próżniaczego, marnotrawnego życia.

W imię Boga, w imię twej matki, która słowem miłości dziecięce twe lata karmiła, w imię lepszej przyszłości — Stasiu, poczuj się prawdziwym obywatelem, nie we frazesach, nie z pustego tytułu tylko.

Nie przerywał słowem żadnym, stał blade i chmurny, a twarz jego walkę różnorodnych uczuć objawiała.

Tymczasem ona mówiła:

— Czyż nam-to dorównywać w zbytkach magnatom Zachodu, czyż nam wspaniałością i bujnię, a bezmyślnie rzucając złotem świecić, kiedy twardego losu koło zwięza się coraz bardziej, jak węzowe Laokonowe sploty?... Coraz więcej ziemi z pod stóp nam się usuwa, a przecież w niej-to cała nadzieja nasza!

Ciężką — bo spuściznę ojcowie nasi nam zostawili!... Tylko cierpliwa, ustawiczna, pełną zapału i wytrwałości pracą dług swój względem siebie samych, i względem innych klas narodu spłacić zdołamy.

Kocham cię całym sercem, bo wierzę, że dusza twoja lepszą jest nad dotychczasowe czyny twoje. Wyrzec się siebie — byłoby to dla mnie wyrzec się szczęścia i radości całego życia... dla ciebie chętnie najcięższą pracę podjąć byłabym gotowa, chętnie i bez słowa skargi w zimnej izdebce do północy pracować — bym umiała: lecz raczej wyrzec się siebie, aniżeli zgodzić się na takie próżniacze, marnotrawne, grzeszne życie, aniżeli przyłożyć rękę do dzieła zdrady i zagłady!

Milczał. Pot wystąpił mu na skronie. Na twarzy jego pracę myśli znać było. Wreszcie ukrył twarz w dłoniach. Głębokie westchnienie wydarło się z jego piersi.

Przez chwilę z litością nań patrzyła miłością.

— Stasiu! — poczęła oziębło, — czy już wcale swojej ślicznej Borowej nie kochasz? Wszak tam twoje dziecięce upłynęły lata, tam każda piędź ziemi stopą twej matki poświęcona!

A las... jak go kochałeś dawniej! Potężne stare dęby siły i hartu zdały ci się być wzorem, a czy pamiętasz, jak często ślubowałeś być mu podobnym całym swem życiem?... Smukłe sosny, wysoko ku niebu swe gładkie pnie podnosząc, przypominały ci twej matki słowa, aby, ku niebu wznosząc czoła, na ziemię rodzinną jakiś promień Bożego ściągnąć światła.

Las szumiał, wicher, ze starych grobów wracając, przeszłości opowiadał dzieje i do pracy dla przyszłości wzywał. Jako dęby wrosnąć nam w rodzinną kazał ziemię, jak sosny, — ku niebu, które jest Pięknem i Dobrem, wznosić czoła!

Może w czystym źródle, co w lesie biło, święty miłości napój czerpałeś, boś kochał wówczas i ten las stary, i zbóż łany, i chłopków w pocie czoła na

rodzinnej niwie pracujących! Lub też może ciepło matczynej piersi tak ogrzewało się wówczas, bo jakże ona kochała to swoje małe królestwo, gdzie była tak dobrą, oh, jak dobrą, panią i matką! Jak kochała wiejskie dzieci, te biedne ptaszynki, które, prawdziwie wedle słów Chrystusa, — jak polne żyją lilię, bo on chyba tylko ma o nich pieczę! Jak starała się światło myśli i uczucia wpoić w te małe główki!... O! Stasiu, teraz tam inaczej być musi!

Ty ją kochałeś przecież, twą świętą, kochałeś sercem całym... O! przebac, że ci serce rozkrwawiam, że przed oczy twej duszy tak bolesne wywołuję wspomnienia; lecz czy pamiętasz ostatnie chwile, jakie z nami przepędziła?...

W ciepły wiosenny poranek, już bladeścią śmierci blada, ona na łożu spoczywała, my kłęczeliśmy obok niej. Przez otwarte okno snopy światła i świeże wonne powietrze do pokoju wbiegało. Wieczorem zażądała, by ją do okna przybliżyć, aby mogła raz jeszcze odetchnąć wonią wiosny. Promień światła igrał z jej już srebrzącymi się włosami, nadając twarzy barwę życia, a przedśmiertnym ogniem żywiej zabłysło oko...

Czy pamiętasz, jakie słowa stygnące już jej usta przekazały ci jako najdroższą całego jej, już zanikającego, życia spuściznę?

Wszak kazała ci, już przez śmierć przerywanym głosem, abys je głęboko w sercu wyrył i do ostatniego tchnienia wiernym im pozostał...

„Czy pamiętasz — mówiła, — że masz jeszcze drugą matkę, dla której nie mniej święte twe obowiązki, że przez całe życie w pocie czoła ofiarną służbę nieść jej winienesz, że matką tą — rodzinną ziemią!“

\*

\*

Zbyt głęboko był przejęty, aby słowami wyrazić uczucia, jakie pierś jego przepełniały; tylko po jego męskiej twarzy z pod splecionych palców łza gorąca spłynęła.

Od chwili, kiedy zęgnął ukochaną swą matkę, nie płakał jeszcze nigdy... To była druga łza...

Downar.

**Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem** uprasza pp. artystów, aby dzieła swoje, wycofane z Wystawy Towarzystwa a nieobciążone pożyczkami, raczyli odebrać z lokalu Towarzystwa lub wskazać, komu mają być odesłane, gdyż Towarzystwo nie może przyjmować odpowiedzialności za całość dzieł takich, dla braku odpowiedniego pomieszczenia.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusze 8-y powieści pod tytułem **O Własnej Mocy** przez J... B... Ed...

**TREŚĆ:** Hortensya Małachowska. — Pogawędka. — Błędna Ścieżka. Szkice powieściowe, M. Wołowskiego. — Z Nieśmiertelnymi, przez F. M. Crawford. — Przegląd teatralny, przez St. Krzemińskiego. — Nowiny paryżkie — Druga łza, przez Downar.

**Dodatek obejmuje:** Arkusze 8-y powieści pod tytułem: **O Własnej Mocy**, przez J... B... Ed... — Przegląd mód. — 23 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg

Дозволено Цензурою. — Варшава 16 Августа 1889 года.